

# Harlan Ellison

## Chłopiec i jego pies

*(A Boy and His Dog)*

### I

Byłem na dworze z Bloodem, moim psem. Akurat w tym tygodniu strasznie mnie wkurzał. Stale nazywał mnie Albertem. Uważał to za cholernie śmieszne. Payson Terhune: ha, ha... Złapałem dla niego parę wodnych szczurów, tych dużych, zielono-pomarańczowych i wymanikiuowanego pudła, który urwał się ze smyczy w jakimś podspodzie. Nażarł się więc dobrze, ale ścirował.

- Chodź no tu, suczy synu – powiedziałem. - Znajdź mi jakąś dupę.

Blood zachichotał tylko w głębi swojej psiej krtani.

- Zabawny jesteś, kiedy zaczyna ci stawać.

Może na tyle zabawny, żeby dać mu kopa w umięśnione dupsko, temu zbiegowi ze stada dingo.

- Szukaj! Się nie wygłupiam.

- Wstyd Albercie. Po tym wszystkim, czego cię uczyłem. Nie: się nie wygłupiam, ale: nie wygłupiam się.

Wiedział, że moja cierpliwość się kończy, więc ponuro zabrał się za łapanie. Przysiadł na splekanych resztkach krawężnika, zamrugał, zamknął oczy i wyprężył kosmate ciało. Wsparty na przednich nogach przesuwiał się powoli do przodu i po chwili leżał płasko z głową na łapach. Rozluźnił się i zadrżał, jakby tuż przed wyiskaniem pchły.

Trwało to prawie kwadrans, aż w końcu przeturlał się i rozłożył na plecach, celując nagim brzuchem w nocne niebo. Ugiął przednie łapy, jak modliszka, tylne zaś rozłożył na boki.

- Przykro mi – oświadczył. - Nic nie ma.

Mogłem się wściec i strepować go za to, ale wiedziałem, że się starał. Nie byłem zachwycony, naprawdę miałem ochotę coś zerznąć, ale co mogłem poradzić?

- Dobra - powiedziałem zrezygnowany. - Nie mówmy o tym.

Kulnął się na bok i wstał.

- Co będziemy robić? - zapytał.

- A mamy duży wybór? - byłem trochę sarkastyczny. Bardziej niż trochę.

Znowu usiadł u moich stóp, bezczelnie pokorny. Oparłem się o nadtopiony słup latarni i pomyślałem o dziewczynach. To sprawiało ból.

- Zawsze możemy iść do kina - burknąłem.

Blood patrzył na ulicę, na kałuże cienia wypełniające zarośnięte zielskiem leje i milczał. Szczeniak czekał, żebym powiedział: dobra, no to chodźmy. Lubił filmy tak samo jak ja.

- Dobra, no to chodźmy.

Wstał i pobiegł za mną, ze szczęścia kołysząc wywieszonym jęzorem. No, dalej, ciesz się pijawo. Ale o kukurydzy możesz zapomnieć!

Nasz Gang był gitpaka, której nie wystarczało zwykle plądrowanie. Dążyli do wygod i wymyślili sprytny sposób osiągnięcia celu. Te dzieciaki lubiły filmy i zajęły miejsce, gdzie kiedyś stało kino Metropol. Nikt nie próbował ich stamtąd wyrzucić, bo wszyscy potrzebowaliśmy filmów, a póki Nasz Gang miał do nich dostęp i robił swoje, utrzymując je w stanie używalności, zapewniał obsługę nawet takim singlom jak Blood i ja. Przede wszystkim takim singlom.

Kazali mi oddać moją czterdziestkę piątkę i długiego Browninga 22. Była tam taka mała wnęka obok okienka kasy. Najpierw kupiłem bilety. Kosztowały mnie puszkę mielonki Oscar Meyer Philadelphia za mnie i pudełko sardynek za Blooda. Potem strażnicy Naszego Gangu z kaemami wskazali mi tę wnękę, a ja wyhamowałem nerwy.

Zauważyłem, że pękła jakaś rura i z góry kapie woda. Powiedziałem pilnującemu, takiemu chłopaczkowi z dużymi, skórzastymi brodawkami na całej twarzy i wargach, żeby przeniósł moją broń w suche miejsce. Olał mnie.

- Hej, ty pierdolona ropucho, przenieś mój sprzęt na drugą stronę. Łatwo rdzewieje. A jak znajdę na nim jakieś ciapy, to połamię ci kości.

Pewno chciał robić aferę, bo spojrział na tych z kaemami. Wiedział, że jeśli mnie wywalą, to tracę cenę biletów, niezależnie od tego czy wszedłem, czy nie. Ale oni nie szukali awantury, pewno nie byli dość silni. Kiwnęli mu więc, żeby dał spokój i robił, co powiedziałem. Ropucha przestawił mojego Browninga na drugi koniec stojaka, a pod nim położył czterdziestkę piątkę.

Blood i ja weszliśmy do kina.

- Chcę kukurydzę.

- Nie marudź.

- Zgódź się, Albercie. Kup mi kukurydzę.

- Wyżyjesz bez niej. Jestem splukany.

- Jesteś zwykły ciul.

Wzruszyłem ramionami. Może mnie pocałować.

Weszliśmy. Sala była pełna. Dobrze, że strażnicy odebrali mi tylko spluwy. Czuję się pewniej, gdy kolec i nóż spoczywały w naoliwionych pochwach na karku. Blood znalazł dwa miejsca obok siebie, więc depcząc po nogach, wcisnęliśmy się między rzędy. Ktoś zaklął, ale nie zwróciłem na to uwagi. Zawarczał jakiś doberman. Blood zjeżył sierść, ale dał spokój. Zawsze ktoś się przypieprzy, nawet na terenie neutralnym, takim jak Metropol.

(Słyszałem raz o rozróbie w starej Granadzie Loewa, na South Side. Zginęło dziesięciu czy dwunastu gitów i ich kundli, spaliło się kino, a w ogniu zginęło parę niezłych, cagneyowskich filmów. Zaraz potem gitpaki dogadały się i kina uznano za neutralne. Teraz było lepiej, ale i tak zawsze trafił się ktoś, kto miał za bardzo pomieszane we łbie, żeby usiedzieć spokojnie.)

W programie były trzy filmy. Najstarszy był „Twarde reguły” z Denisem O’Keefe, Claire Trevorem, Raymondem Burrem i Marshą Hunt. Nakręcili go w 1948, siedemdziesiąt sześć lat temu. Bóg jeden wie, w jaki sposób ta cholerna taśma jeszcze trzymała się kupy. Stale zjeżdżała z rolek i bez przerwy musieli przerywać projekcję i zakładać ją na nowo. Ale film był niezły o takim singlu, którego wykopali z jego gitpaki, a on chciał się zemścić. Gangsterzy, rozruchy, dużo mordobicia i strzelaniny. Naprawdę niezły.

Środkową migawę zrobili w czasie Trzeciej Wojny, w 07, dwa lata przed moim urodzeniem. Nazywała się „Cuchnący Żółtek”. Prawie sama haratanina i parę razy ładnie wręcz. Piękna scena jak bojowe charty z miotaczami ognia roznoszą miasteczko żółtków. Bloodowi aż szczeka opadła, choć obaj już to widzieliśmy. Udawał, że jest dumny, że to jego przodkowie i wiedział, że ja wiem, że tylko udaje.

- Masz ochotę spalić dziecko, bohaterze? - szepnąłem cicho.

Złapał greps i tylko pokręcił się na siedzeniu. Nic nie powiedział i dalej udawał, że zachwyca go sposób, w jaki psy przedzierają się przez miasteczko. Ja się nudziłem.

Czekałem na program główny.

W końcu się zaczęło. To było чудо, seks-migawa z późnych lat siedemdziesiątych. Od samego startu była świetna. Takie dwie blondyny w czarnych skórzanych gorsetach i butach wysokich po krocze, z pejcami i w maskach, położyły tego chudego facia na ziemi, a potem jedna cizia siadła mu na twarzy, a druga zaczęła obrabiać dół. Naprawdę mi stanął. Dookoła single zabawiali się sami ze sobą. Właściwie też miałem sobie trącić, kiedy Blood nachylił się i powiedział cicho, jak zawsze wtedy, kiedy trafi na coś o niezwykłym zapachu:

- Tu jest cizia.

- Jaja robisz- stwierdziłem.

- Czuję ją, poważnie. Ona tu jest, chłopie.

Rozejrzałem się dyskretnie. Prawie wszystkie miejsca zajmowali single, albo ich psy. Gdyby trafiła tu cizia, zrobiłaby się rozróżba. Rozdarliby ją na strzępy, zanim ktoś zdążyłby się do niej dorwać.

- Gdzie? - spytałem cicho.

Dookoła single walili i stękali, kiedy blondyny zdjęły maski, a jedna zaczęła obrabiać chudego czymś w rodzaju przywiązanego na biodrach drewnianego tłoka.

- Poczekaj chwilkę - odparł Blood. Był naprawdę skupiony.

Jego mięśnie napięły się i stwardniały, falowały nozdrza. Zamknął oczy. Pozwoliłem mu działać.

Rzecz była możliwa. Słabo, ale możliwa. Wiedziałem, że w podspodach robili migawy naprawdę tepe, śmieci, takie jak te z '30 i '40, ckiwe historyjki, gdzie nawet małżeństwa spały w osobnych łózkach. Migawy typu Myrny Loy i George'a Brenta. I wiedziałem, że od czasu do czasu jakaś cizia wygórza się, żeby obejrzeć coś naprawdę ostrego. Słyszałem o tym, ale nic takiego nie zdarzyło się nigdy w żadnym kinie, w którym ja byłem.

A szansa, żeby się to stało akurat w Metropolu, była naprawdę nikła. Przychodziło tu sporo odchylonych. Zrozumcie, nie mam uprzedzeń wobec chłopców, którzy rzną się nawzajem... do diabła, potrafię to zrozumieć, dziewczyn dla wszystkich nie wystarcza. Ale nie wyrabiam układów dżokej-bokser. Zawsze w efekcie jakiś słaby, mały bokser lepi się do ciebie, robi sceny zazdrości, trzeba za niego polować, a jemu zdaje się, że wystarczy tylko wypiąć dupę, a ty zrobisz za niego całą robotę. Sprawa prawie tak fatalna, jak ciągnięcie ze sobą cizi. A w większych gitpakach jest z tego masa zlej krwi i rozróżby. Dlatego ja nigdy tak nie robię. No, może nie nigdy. Ale już bardzo dawno nie.

No więc nie wydawało mi się, żeby jakaś cizia zaryzykowała akurat Metropol, z tymi wszystkimi odchylonymi. Miałaby loterię, kto pierwszy rozedrze ją na kawałki, bokserzy czy normalni.

A jeżeli już tu była, to dlaczego nie wyczuł jej żaden inny pies?

- Trzeci rząd, przed nami - oświadczył Blood. - Boczne miejsce.

Ubrana jak singiel.

- Jak to się stało, że ty ją niuchnąłeś, a żaden inny pies nie wylapał?

- Zapominasz kim jestem, Albercie.

- Nie zapominam. Po prostu w to nie wierzę.

Tak naprawdę, podświadomie, to chyba wierzyłem. Gdybyście byli takimi tępakami, jak ja byłem i gdyby taki pies jak Blood nauczył was wszystkiego, to też zaczęlibyście wierzyć we wszystko co mówił.

Nie można się sprzeczać ze swoim mistrzem.

Zwłaszcza, kiedy nauczył cię czytania i pisania, i dodawania, i odejmowania, i wszystkich tych rzeczy, które kiedyś znano i które oznaczały, że jesteś dobry (choć teraz znaczyły już niewiele, tyle że, wydaje mi się, nieźle jest wiedzieć, jak się je robi).

(Czytanie to świetna sprawa. Przydaje się, kiedy znajdzie się jakieś puszeki, na przykład w zbombardowanym supermarkecie, a obrazki zlażyły już z nalepek. Łatwiej wtedy wybrać to, co się lubi. Parę razy czytanie uratowało mnie przed zabraniami buraków. Kurwa, nienawidzę buraków!)

No więc chyba wierzyłem, że może wyniuchać tę cizję, a żaden inny kundel nie da rady. Opowiadał mi o tym wszystkim milion razy. To był jego ulubiony tekst. Historia, jak mówił. Jezu, nie jestem aż taki tępy. Wiem, co to jest historia. To jest wszystko, co wydarzyło się przedtem.

Zresztą wolałem słuchać historii wprost od Blooda. To lepsze, niż żeby mi kazał czytać którąś z tych grubych książek, jakie bez przerwy przywlekał. No, a ta szczególna historia była cała o nim, więc wywalał ją na mnie tak często, że wykułem ją na blachę... nie, mówi się „na pamięć”. Nie „pięć” od liczenia, to znaczy co innego. Znałem ją na pamięć, czyli umiałem powtórzyć słowo w słowo.

A kiedy kundel uczy cię wszystkiego, co wiesz, i wbija ci coś w pamięć, to w końcu naprawdę zaczynasz mu wierzyć. Ale nigdy nie dałem tego poznać temu łapowzniosowi.

## II

A to co wbijał mi w pamięć, brzmiało tak: ponad pięćdziesiąt lat temu, w Los Angeles, zanim jeszcze Trzecia Wojna zaczęła się na dobre, żył sobie człowiek nazwiskiem Buesing. Mieszkał w Carritos i hodował psy na dozorców i strażników. Dobermany, Great Dane-dogi, sznaucery i japońskie akity. Miał czteroletnią sukę, owczarka niemieckiego o imieniu Ginger. Pracowała dla sekcji narkotyków policji Los Angeles. Wyszukiwała marihuanę. Nieważne, jak dobrze była schowana. Raz zrobili próbę: w magazynie części samochodowych było 25000 pudeł. Do pięciu włożyli marihuanę, zatopioną w celofan, owiniętą w folię aluminiową i gruby papier do pakowania, w końcu zapakowaną w trzy niezależnie zalepione kartony. W ciągu siedmiu minut Ginger odnalazła wszystkie pięć paczek.

W tym samym czasie, kiedy pracowała Ginger, dziewięćdziesiąt dwie mile na północ, w Santa Barbara, cetolodzy otrzymali skoncentrowany płyn rdzeniowy delfinów i zaczęli wstrzykiwać go pawianom i psom. Dokonano odpowiednich operacji i przeszczepów. Pierwszym rezultatem był dwuletni samiec puli imieniem Ahbhu, który przekazywał telepatycznie wrażenia zmysłowe. Krzyżówki i dalsze eksperymenty doprowadziły do powstania pierwszych psów bojowych, w sam czas dla potrzeb Trzeciej Wojny. Telepaci na krótkie dystanse, łatwi w tresurze, wyczuwający

benzynę, żołnierzy, gazy trujące albo promieniowanie, w kontakcie z ludźmi-kontrolerami stworzyły grupy uderzeniowe w wojnie nowego typu. Wybrane linie reprodukowały się. Dobermany, charty, akity, puli i sznauclery przejawiały coraz większe zdolności telepatyczne.

Ginger i Ahbhu byli przodkami Blooda.

Z tysiąc razy mi to opowiadał. Właśnie w ten sposób, tymi samymi słowami, tysiąc razy, tak jak jemu opowiadano. Nie wierzyłem mu, aż do teraz.

Być może ten mały skurwiel naprawdę był wyjątkowy.

Przyjrzałem się, skulonemu na bocznym krześle trzy rzędy przede mną, singlowi. Nie mogłem poznać. Miał (miała?) nisko nasuniętą na oczy czapkę i podniesiony kołnierz kurtki.

- Jesteś pewien?

- Tak, że bardziej się nie da. To dziewczyna.

- Bawi się ze sobą tak samo jak chłopak.

- A to niespodzianka - parsknął Blood.

Tajemniczy singiel jeszcze raz przesiedział przez „Twarde reguły”.

Jeżeli to była dziewczyna, sprawa zaczynała nabierać sensu. Większość singli i wszyscy członkowie gitpak wyszli po seks-migawie i niewielu nowych weszło do środka. Jeżeli odczeka w ten sposób odpowiedni czas ulice opustoszeją i będzie mógł/mogła wrócić tam, skąd przyszedł/przyszła. Też obejrzałem jeszcze raz „Twarde reguły”. Blood zasnął.

Kiedy tajemniczy singiel wstał/a zostawiłem mu/jej czas na odebranie broni, o ile jakąś zostawił/a, i na wyjście. Potem pociągnąłem Blooda za kosmate ucho.

- Wychodzimy - powiedziałem.

Złazł i ruszyliśmy do bocznego wyjścia.

Odebrałem spluwy i wyszliśmy na ulicę. Było pusto.

- No i co, nochalu? - spytałem. - Którędy poszedł?

- Poszła. Na prawo.

Ruszyłem, ładując browninga nabojami z pasa. Wśród wypalonych murów wciąż nie widziałem nikogo. Ta część miasta była zupełnie rozwalona, naprawdę w fatalnym stanie. No, ale Nasz Gang, prowadząc Metropol, żeby wyżyć, nie musiał przejmować się niczym więcej. To zakrawało na kpinę: Smoki musiały obsługiwać całą siłownię, żeby dostać daninę od innych gitpak. Chłopcy Teda dbali o rezerwuar wody, Bastinados tyrali jako robotnicy polowi przy uprawie marihuany, a Barbadoskie Czarnuchy każdego roku traciły parę tuzinów swoich przy czyszczeniu promieniujących dziur w całym mieście. A Nasz Gang miał tylko prowadzić kino.

Kimkolwiek był ich szef wtedy, kiedy nie wiem jak dawno temu plądrujący po mieście single zaczęli łączyć się w gitpaki, jedno trzeba było mu przyznać: był z niego chytrus. Wiedział, jakimi usługami warto się tutaj zająć.

- Tutaj skręciła - powiedział Blood.

Szedłem za nim, a on skierował się w stronę granic miasta i niebieskawo-zielonego promieniowania, wciąż migocącego na wzgórzach.

Wtedy wiedziałem już, że ma rację. Dalej był tylko skokszyb wejściowy do podspodu. To musiała być dziewczyna.

Kiedy o tym myślałem, czułem jak naprężają mi się póldupki. Będę mógł coś zerznąć. Już prawie miesiąc minął, odkąd Blood wyniuchał dla mnie tę dziewczynę-singla na Market Basket.

Była brudna i nałapałem wszy, ale jak już ją związałem i parę razy przyłożyłem, okazała się świetna. Jej też się podobało, chociaż pluła na mnie i odgrażała się, że mnie wykończy kiedy tylko będzie wolna. Zostawiłem ją związaną, na wszelki wypadek. Nie było jej kiedy zająłem tam ostatnio, dwa tygodnie temu.

Wędrując przez ziemię niczyją zrozumiałem, dlaczego wszyscy, poza garstką singli i członków gitpak, buli chłopcami. Wojna wybiła większość dziewczyn, jak zwykle wojny ... przynajmniej tak mówił Blood. A stwory, które się rodziły, rzadko były płci męskiej albo żeńskiej i trzeba było rozwalać je o mur zaraz po wyciągnięciu z matki.

Te parę ciż, które nie zeszyły na dół z mieszczuchami, to były twarde, przyzwyczajone do samotności dziwki, takie jak tamta na Market Basket, zahartowane i silne, zdolne odciąć ci interes żyłką, jak tylko im wsadzisz. Im byłem starszy, tym trudniej było wygrzebać jakąś dupę.

Ale ciągle, raz na jakiś czas, jakaś cizia miała dosyć bycia własnością gitpaki. Albo pięć czy sześć gitpak atakowało i zdobywało jakiś niczego nie podejrzewający podspód. Albo tak jak teraz jakaś mieszczańska cizia czuła ogień w majtkach i wygórzała się, żeby popatrzeć jak wygląda prawdziwa seks-migawa.

Miałem ją zerznąć! O rany, nie mogłem się doczekać!

### III

Nie było tam niczego prócz pustych murów porozwalanych budynków. Cały kwartał był zgnieciony na płask, jakby z Niebios spuściła się stalowa płyta, zrobiła głośnie bum! i wszystko pod nią zmieniło się w proszek. Cizia była zalękniona i płochliwa. Szła ostrożnie, rozglądając się na boki i do tyłu. Wiedziała, że znalazła się w niebezpiecznym rejonie. Rany, gdyby wiedziała, jak bardzo niebezpiecznym.

Jeden budynek stał samotnie na skraju tego sprasowanego kwadratu, jak gdyby o nim zapomniano i przez przypadek został cały. Cizia wśliznęła się do środka i w minutę później zobaczyłem przesuwające się światło. Latarka? Możliwe.

Blood i ja przeszliśmy ulicę i zanurzyliśmy się w otaczającą budynek ciemność. To było wszystko, co pozostało z YMCA.

Znaczyło to „Young Men's Christian Association”. Blood nauczył mnie czytać.

No więc czym, do cholery, był chrześcijański związek młodych mężczyzn? Czasem okazuje się, że umiając czytać masz więcej problemów niż jako przygłup.

Nie chciałem, żeby wyszła. W środku mogłem ją zerznąć tak samo dobrze jak w każdym innym miejscu. Postawiłem Blooda na straży, a sam poszedłem na tyły. Wszystkie drzwi i okna były, oczywiście, wywalone. Dostanie się do środka nie wymagało dużego wysiłku. Podciągnąłem się na parapet i zeskoczyłem do wnętrza. Było ciemno. I cicho, jeśli nie liczyć hałasowania tej cizi, łączącej po przeciwnej stronie dawnego YMCA. Nie wiedziałem, czy ktoś ją śledził czy nie, ale wolałem nie ryzykować. Zarzuciłem Browninga na ramię i wyciągnąłem czterdziestkę piątkę. Nie musiałem jej repetować, zawsze miałem nabój w lufie.

Ostrożnie przeszedłem przez pokój. To był rodzaj schowka, z podłogą zasypaną szkłem, odłamkami i całym rzędem metalowych skrzynek, z których płatami złaźła farba. Błysk wybuchu dosięgnął je przez okna, sporo lat temu. Gdy szedłem, moje trampki nie wydawały żadnego dźwięku.

Drzwi zwisały krzywo na jednym zawiasie. Przekroczyłem odwrócony trójkąt przejścia i znalazłem się na basenie. Był pusty. Na płytkim końcu poodpadały kafelki. Śmierdziało. Nic dziwnego, wzdłuż jednej ściany leżeli martwi ludzie, a raczej to, co z nich pozostało. Jakiś pieprznityy sprzętacz zebrał ich tu, ale nie pochował. Naciągnąłem chustę na nos i usta i poszedłem dalej.

Z drugiej strony basenu był korytarz z porozbijanymi żarówkami na suficie. Nie miałem problemów z widzeniem. Księżyc świecił przez powybijane okna, a w suficie brakowało cegieł. Teraz słyszałem ją wyraźnie, zaraz za drzwiami na końcu korytarza. Podszedłem tam, przyciskając się do ściany. Drzwi były uchylone, ale zablokowane stosem desek i tynku, który poodpadał od ścian. Gdybym próbował je otworzyć, narobiłbym hałasu, to pewne. Musiałem poczekać na odpowiedni moment.

Przyklejony do ściany przyglądałem się, co ona tam robi. To była sala gimnastyczna, duża. Z sufitu zwisały liny do wspinania się. Cizia miała silną, ośmiobaterijną latarkę leżącą na koniu do skoków. Były tam poręcze i drążek, na wysokości jakichś ośmiu stóp rdza pokrywała wysokogatunkową stal. Widziałem kółka, batut i dużą, drewnianą równoważnię. Jedna ściana była zabudowana drabinkami, a pod nią stały ławeczki, pionowe i ukośne drabiny i parę skrzyń gimnastycznych. Uznałem, że warto zapamiętać to miejsce. O wiele lepiej nadawało się do ćwiczeń, niż pełna śmieci salka treningowa, którą urządziłem sobie na składowisku starych samochodów. Trzeba trzymać formę, jeśli chce się być singlem.

Ona zdjęła już swoje przebranie. Stała w samej skórze i drżała. Tak, było chłodno. Wyraźnie widziałem pokrywający ją rzucik gęsiej skórki. Miała mniej więcej pięć stóp i sześć albo siedem cali wzrostu, ładne cycki i dość chude nogi. Czesła włosy. W świetle latarki trudno było stwierdzić, czy są rude czy kasztanowe. W każdym razie nie była blondynką, co dobrze się składało, a to dlatego, że nie przepadam za ryżymi. No i miała niezłe cycki. Nie widziałem twarzy: włosy spływały w dół, miękkie, falujące, i zasłaniały jej profil.

Ciuchy, które nosiła, leżały koło niej na podłodze, a te, które chciała włożyć, czekały poskładane na koniu. Stała tam, mając na sobie tylko małe buciki z takim śmiesznym obcasem.

Nie mogłem się ruszyć. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie mogę się ruszyć. Była ładna, naprawdę ładna. I naprawdę świrowałem od samego stania tam i patrzenia, jak zwięza się jej talia i rozszerzają biodra, jak mięśnie podciągają w górę jej piersi, gdy sięga do głowy i zaczesuje te wszystkie włosy. To było zupełnie niesamowite, ten świr od stania i tylko przyglądania się, jak ta cizia się rusza. Naprawdę tak, no... kobieco. Podobało mi się to.

Nigdy nie stałem tak i nie patrzyłem na taką cizię. Wszystkie, które dotąd widziałem, to były męty, które Blood dla mnie wyniuchał, a ja użyłem. Albo te duże w seks-migawkach. Całkiem niepodobne do tej, jakby takiej miękkiej i gładkiej, mimo gęsiej skórki. Przez całą noc mógłbym się tak gapić.

Odłożyła grzebień, wyciągnęła rękę, ze stosu ciuchów wyjęła majtki i wsunęła się w nie. Potem wzięła stanik i założyła go. Nie wiedziałem jak cizie to robią. Włożyła go tyłem na przód, na piersi, a tam był taki haczyk. Potem go przesuwiała, aż miski były z przodu i jakby je podciągnęła czy wepchnęła się w nie, najpierw jedną, a potem drugą; w końcu złożyła paski na ramiona. Sięgnęła po sukienkę, a ja odsunąłem trochę deski oraz tynk i chwyciłem drzwi, żeby móc nimi szarpnąć.

Trzymała sukienkę nad głową, z rękami pod materiałem, a kiedy wsadziła tam głowę i przez sekundę była zaplątana, szarpnąłem drzwi. Stuknęło, gdy odskoczyły kawały tynku, zazgrzytało, a ja wskoczyłem do środka i miałem ją, zanim zdążyła wyleźć z tej kiecki.

Zaczęła wrzeszczeć. Ściągnąłem z niej sukienkę, usłyszałem jak coś się drze, a to wszystko stało się zanim ona pojęła, co to był za stuk i zgrzytanie.

Twarz miała dziką. Po prostu dziką. Duże oczy, nie widziałem jakiego koloru, bo były w cieniu; naprawdę śliczne rysy, szerokie usta, mały nos, kości policzkowe takie jak moje, wysokie i wystające, i dołek na prawym policzku. Patrzyła na mnie naprawdę wystraszona.

I wtedy... i to było naprawdę niesamowite... poczułem, że powinienem coś do niej powiedzieć. Nie wiem co. Po prostu coś. Głupio mi się zrobiło, że jest taka przerażona, ale co, do diabła, mogłem na to poradzić? Rozumiecie, miałem w końcu zamiar ją zgwałcić i nie bardzo mogłem jej tłumaczyć, żeby się tym nie przejmowała. Zresztą sama się wygórzyła. Ale i tak miałem ochotę powiedzieć jej: ty, nie bój się, po prostu chcę cię zwalić. (Nic takiego nigdy mi się nie zdarzyło. Nigdy nie miałem ochoty niczego gadać do cizi, tylko jej wsadzić i tyle.)

Ale to minęło. Wsunąłem stopę za jej nogi i popchnąłem, a ona się wywaliła. Wycelowałem w nią czterdziestkę piątkę, wtedy rozchyliła wargi na kształt jakby „o”.

- Teraz pójde o, tam, i przyniosę jakiś materac, żeby było wygodniej, jasne? - poinformowałem ją. Spróbujesz wstać, to odstrzelę ci nogę. Przerżnę cię i tak, tyle że nie będziesz miała nogi.

Czekałem, aż da znak, że skontaktowała co mówię. W końcu powoli kiwnęła głową, a więc nie opuszczając broni podszedłem do zakurzonego stosu materaców i wyciągnąłem jeden. Przywlokłem go do niej i odwróciłem, żeby czysta strona była u góry. Lufą czterdziestki piątki wepchnąłem ją na niego. Usiadła podpierając się rękoma, z podkurczonymi nogami, i patrzyła na mnie.

Rozpiąłem spodnie i zacząłem je zdejmować, kiedy zauważyłem, że przygląda mi się naprawdę dziwnie.

- Co się tak gapisz?

Nie zdawałem sobie sprawy, że świruję, ale tak właśnie było.

- Jak się nazywasz? - spytała. Miała miękki głos, jakby puszysty, jakby krtań, z której się wydobywał, była wysłana futrem albo czymś takim.

Gapiała się na mnie dalej, czekając na odpowiedź.

- Vic - powiedziałem. Wydawało się, że jeszcze na coś czeka.

- Vic jak?

Przez moment nie wiedziałem, o co jej chodzi. Potem zrozumiałem.

- Vic. Po prostu Vic. To wszystko.

- No, jak nazywali się twoi rodzice?

Zacząłem się śmiać i znowu wziąłem się do spodni.

- Rany, ale z ciebie głupia suka - stwierdziłem i pośmiałem się jeszcze trochę.

Wyglądała, jakbym ją zranił, a ja od tego znowu dostałem świra.

- Przestań się tak gapić, bo ci zęby powybijam.

Przełożyła ręce do przodu.

Ściągnąłem spodnie do kostek. Dalej nie chciały przejść przez trampki. Musiałem stać na jednej nodze i z drugiej zdejmować but. Nie było to proste, bo trzymałem wycelowaną w nią czterdziestkę piątkę i męczyłem się z trampkiem jednocześnie. Ale się udało.

Stałem teraz goły od pasa w dół, a ona skrzyżowała nogi i pochyliła się trochę w przód.

- Ściągnij to - powiedziałem.

Przez sekundę siedziała nieruchomo i już myślałem, że będę miał z nią kłopoty. Ale zaraz sięgnęła do tyłu i rozpięła stanik, a potem położyła się na plecach i ściągnęła majtki z tyłka.

Nagle przestała wyglądać na wystraszoną. Przyglądała mi się bardzo uważnie i zauważyłem, że jej oczy są teraz niebieskie. A co naprawdę dziwne...

Nie mogłem tego zrobić. To znaczy, nie dosłownie. Chciałem ją zerznąć, rozumiecie, ale ona była taka miękka i śliczna, i patrzyła na mnie, i żaden singiel by mi nie uwierzył, ale usłyszałem jak mówię do niej, kiedy tak stoję jak jakiś psych, w jednym trampku i z dzinsami wokół kostek.

- A jak ty się nazywasz?

- Quilla June Holmes.

- Dziwne imię.

- Mama mówi, że było popularne w Oklahomie.

- To tam twoi mieszkali?

Kiwnęła głową.

- Przed Trzecią Wojną.

- To muszą być nieźle starzy.

- Owszem, ale są w porządku. tak sędzę...

Znieruchomieliśmy tak rozmawiając ze sobą. Widziałem, że jest jej zimno, bo drżała.

Cholera! Przeklęty Blood! Dokładnie w tej chwili wpadł na łeb na szyję do środka, w tumanie kurzu przejechał po gruzie i podjechał do nas ślizgając się na tyłku.

- Czego? - spytałem.

- Do kogo mówisz? - zdziwiła się dziewczyna.

- Do niego. Do Blooda.

- Do psa?

Blood spojrzął i zignorował ją. Zaczął coś mówić, ale mu przerwała.

- Więc to prawda, co o was mówią... że wszyscy umiecie rozmawiać ze zwierzętami...

- Masz zamiar słuchać jej przez całą noc, czy wolisz dowiedzieć się czemu przyszedłem?

- Dobra, co się dzieje?

- Masz kłopoty, Albercie.

- Skończ te myszkimiki i gadaj z sensem. Co jest?

Blood skinął głową w stronę frontowych drzwi YMCA.

- Gitpaka. Otoczyli budynek. jest ich chyba piętnastu, może dwudziestu.

- Skąd, do diabła, wiedzą, że tu jesteśmy?

Blood wyglądał na zmartwionego. Spuścił głowę.

- No?

- Jakiś inny kundel musiał ją wyniuchać w kinie.

- Bomba!

- Co teraz?

- Odeprzemy ich i tyle. Masz jakieś lepsze propozycje?

- Tylko jedną.

Czekałem. Uśmiechnął się.

- Podciągnij spodnie.

## IV

Dziewczyna, Ta Quilla June, była zabezpieczona. Zrobiłem dla niej coś w rodzaju kryjówki z materaców gimnastycznych, z tuzina mniej więcej. Nie mogła jej trafić zabłąkana kula, a jeśli nie natrafią na nią przypadkiem, to jej nie znajdą. Sam wspiąłem się po linie i ułożyłem na belce z Browningiem i paroma garściami naboju. Wzdychałem do Boga, żeby mieć automat-kaem albo Thompsona. Upewniłem się, że czterdziestka piątka jest pełna i ma pocisk w lufie. Zapasowe magazynki porozkładałem na belce. Trzymałem pod ogniem całą salę.

Blood leżał w cieniu tuż przy drzwiach. Sugerował, żebym najpierw postarał się wytłuc tyle psów gitpaki, ile zdołam. To dałoby mu możliwość swobodnego działania.

Było to najmniejsze z moich zmartwień.

Wolałbym zapuszkować się w innej sali z jednym tylko wejściem, ale nie miałem jak się dowiedzieć, czy gity były już w budynku. Trzeba było radzić sobie z tym co miałem do dyspozycji.

Wszystko było ciche. Nawet ta Quilla June. Straciłem cenne minuty przekonując ją, że powinna się zapuszkować i nie robić hałasu. „Chcesz chyba jeszcze zobaczyć mamusię i tatusia”, ostrzegłem. Potem nie robiła problemów, gdy pakowałem ją za materace.

Cisza. Nagle usłyszałem dwie rzeczy na raz. Od tyłu, od strony basenu, doleciał chrzęst kruszonego butami tynku. Bardzo cichy. A od drzwi frontowych brzęk metalu uderzającego o drewno. Chcieli więc spróbować z dwóch stron. Proszę bardzo, jestem gotów.

Znowu cisza. Wymierzyłem Browninga w drzwi na basen. Odkąd przez nie przeszedłem, były otwarte. Założyłem gita na pięć-dziesięć. Wystarczy mierzyć półtorej stopy niżej, żeby go trafić w klatkę. Już dawno się nauczyłem, że trzeba celować w najszerszą część ciała: pierś albo brzuch. W tułów.

Usłyszałem z zewnątrz szczeknięcie psa. Wtedy kawałek ciemności przy drzwiach frontowych oderwał się i wśliznął do sali. Dokładnie naprzeciw Blooda. Nie ruszyłem Browninga.

Git przy drzwiach przesunął się wzdłuż ściany o krok dalej. Zamachnął się i rzucił coś - kamień, kawałek metalu, cokolwiek, żeby ściągnąć ogień. Nie ruszyłem Browninga.

Kiedy to, co rzucił, walnęło o podłogę, dwa gity wskoczyły od strony basenu; spluwy przy biodrach gotowe do rozpylania. Zanim zdążyli zacząć, wcisnąłem pierwszy strzał, przesunąłem lufę i walnąłem drugiego. Obaj upadli. Bang! I już leżeli. Żaden się nawet nie ruszył. Mamunia przy drzwiach próbował trzasnąć, ale Blood był już przy nim. Właśnie tak, prosto z ciemności, zziut! Skoczył wprost na lufę jego trzymanej w pogotowiu spluwy i zatopił kły w jego gardle. Git wrzasnął, a Blood opadł na ziemię z kawałkiem tego chłopaczka w pysku. Tamten wydawał z siebie jakieś straszliwe bulgocące odgłosy. Przyklęknął na jedno kolano. Wsadziłem mu kulkę w łeb i zwalił się na twarz.

Znowu zapadła cisza. Nieźle. Zupełnie nieźle. Trzy zejścia i ciągle nie znali naszych pozycji. Blood wycofał się z powrotem w ciemność przy wejściu. Nic nie mówił, ale wiedziałem, co sobie myśli: może to było trzech z siedemnastu, może z dwudziestu, a może z dwudziestu dwóch. Nie było się jak dowiedzieć. Mogliśmy trzymać się tu przez tydzień i nie mieć pojęcia, czy załatwiliśmy ich wszystkich, czy tylko część, czy wcale. Mogli odchodzić i wracać z nowymi siłami, aż skończą

mi się naboje, zabraknie żarcia i ta dziewczyna, ta Quilla June, zacznie płakać i rozpraszać moją uwagę, i potem dzień i widno, a oni będą tam leżeć i czekać, aż zgłodniejemy tak, że zrobimy coś głupiego, albo wystrzelam całą amunicję, i wtedy wychmurzą się i zadeszczą nas.

Git wbiegł pędem przez drzwi frontowe, skoczył, wylądował na rękach, zrobił przewrót, wyprostował się biegnąc w innym kierunku i walnął trzy serie w trzy kąty sali zanim dogoniłem go lufą Browninga. Był już prawie pod mną i nie musiałem marnować naboju 22. Bezszermerowo podniosłem czterdziestkę piątkę i odwalilem mu tył głowy. Kulka weszła równiutko i wyszła zabierając ze sobą większą część jego fryzury. Zwalił się od razu.

- Blood! Spluwa!

Wyskoczył z cienia, złapał ją w zęby i pociągnął do stosu materaców. Zobaczyłem, jak z tego stosu wysuwa się ręka, palce chwytają broń i wciągają pod spód. No, tam przynajmniej była bezpieczna, póki nie będzie mi potrzebna.

Odważny mały skurwiel: przysiadł przy trupie gita i zaczął szarpać jego pas z nabojami. Chwilę to trwało, mogli go trzepnąć przez drzwi albo z zewnątrz, przez któreś z okien. Ale zrobił to. Odważny mały skurwiel Muszę pamiętać, żeby znaleźć mu coś dobrego do żarcia, jak się stąd wydostaniemy. Uśmiechnąłem się, w górze, w ciemności: jeśli się wydostaniemy, nie będę musiał się martwić, jak mu znaleźć coś delikatnego. Pełno tego leżało porzucane po całej podłodze sali.

Kiedy Blood ciągnął pas w stronę cienia, znowu spróbowali, dwóch z psami. Wleźli przez parterowe okno, jeden za drugim, przeturlali się i pognali w przeciwne strony. Jednocześnie psy, paskudny akita wielki jak dom, i suka dobermana koloru gówna, wpadły drzwiami i rozbiegły się w dwóch pozostałych kierunkach. Trzasnąłem jednego, akite, z czterdziestki piątki, a on zwalił się w drgawkach. Doberman zajęty był Bloodem.

Tyle, że strzelając zdradziłem swoją pozycję. Jeden z gitów wygarnął z biodra i dookoła mnie zabębniły miękkonose kulki z 30-06. Chciałem sięgnąć po Browninga, więc rzuciłem czterdziestkę piątkę, a ona zaczęła zsuwać się z belki. Próbowałem ją złapać i to właśnie mnie uratowało. Wychyliłem się do przodu, a ona wyslizgnęła mi się, spadła na podłogę, a git wygarnął w miejsce, gdzie byłem przed chwilą. Tyle, że teraz leżałem płasko, z ręką zwieszoną w dół. Stuk go zaskoczył. Strzelił w punkt, skąd dobiegł głos. Równocześnie usłyszałem drugi strzał, z Winchestera, i drugi git, ten kryjący się w cieniu, upadł na twarz, zasłaniając rękami wielką dziurę w pierś.

Nie miałem nawet czasu, żeby pomyśleć, co się, kurwa, dzieje... Blood przetaczał się z dobermanem po podłodze. Oba wydawały z siebie straszne odgłosy... git z 30-06 walnął jeszcze raz i trafił w wystający poza belkę koniec lufy Browninga. Brzdęk! i już nie miałem spluwy. Spadała na dół. Zostałem na górze goły, a ten skurwysyn przywarował gdzieś w ciemności i czekał na mnie.

Winchester strzelił jeszcze raz i git wpakował prosto w materace. Cizia skuliła się za nimi i wiedziałem, że na nic z jej strony nie mogę już liczyć. Ale nie było to potrzebne. W ciągu tej sekundy, kiedy jego uwaga skoncentrowała się na niej, złapałem linę, przewinałem się przez belkę i wyjąc jak lekowrask zjechałem w dół. Czułem, jak sznur rozcina mi palce. Dociągnąłem na tyle daleko, żeby odepchnąć się nogami. Huśtałem się tam i z powrotem, za każdym przejściem wywijając ciało w różne strony w dół, w bok i w górę. Ten skurwiel ciągle strzelał. Próbował wyczuć moją trajektorię, ale stale usuwałem się z linii ognia. A potem nie miał już naboju, więc odepchnąłem się najmocniej, jak tylko potrafiłem, i warcząc wleciałem w jego kąt ciemności, puściłem linę i spadłem na łeb-na dupę prosto na niego. Trzasnął o ścianę, a ja już byłem przy nim i wsadziłem mu kciuki w oczy. On wrzeszczał, psy wrzeszczały, dziewczyna wrzeszczała, a ja

waliłem głową tego skurwiela o podłogę, aż przestał się ruszać. Wtedy złapałem pusty 30-06 i tłukłem go w łeb, póki nie byłem pewien, że nie będzie mnie więcej denerwował.

Później znalazłem moją czterdziestkę piątkę i zastrzeliłem dobermana.

Blood wstał i otrząsnął się. Był paskudnie poharatany.

- Dzięki - burknął i poszedł w kąt, żeby się wylizać.

Odrzebałem tę Quillę June. Płakała. Po tych wszystkich chłopcach, których zabiliśmy, a najbardziej po tym jednym, którego ona zabiła. Nie dało się jej przekonać, żeby przestała wyc, więc strzeliłem ją w buźkę i powiedziałem, że uratowała mi życie. To trochę pomogło.

Blood podszedł powłócząc tyłkiem.

- Jak z tego wybrniemy, Albercie?

- Daj pomyśleć.

Myślałem, ale wiadomo było, że to beznadziejne. Nieważne ilu załatwimy, zawsze będzie ich więcej. A teraz była to dla nich sprawa macho. Ich honoru.

- A może pożar? - zaproponował Blood.

- Zwiąć, jak się będzie paliło? - pokręciłem głową. - Będą pilnować dookoła. Nie damy rady.

- A jeśli nie wyjdziemy? Jeśli spalimy się razem z tym wszystkim?

Przyjrzałem mu się. Odważny... i sprytny jak diabli.

## V

Zebraliśmy całe drewno i materace, drabinki i skrzynie, ławeczki i wszystko, co mogło się palić, i ułożyliśmy przy drewnianej ścianie działowej przy końcu sali. Quilla June znalazła w magazynku bańkę nafty. Podłożyliśmy ogień pod ten cholerny stos i poszliśmy z Bloodem do miejsca, które dla nas wyszukał, do kotłów w piwnicach pod YMCA. Wleźliśmy wszyscy do pustego kotła i zatrzasnęliśmy klapę, dla dopływu powietrza zostawiając otwarty zawór bezpieczeństwa.

Mieliśmy ze sobą jeden materac, całą amunicję, jaką znaleźliśmy, dodatkowe karabiny i broń krótką zabraną gitom.

- Łapiesz coś? - spytałem Blooda.

- Trochę. Niewiele. Czytam jednego. Budynek się pali porządnie.

- Dasz radę wyczuć kiedy dadzą spokój?

- Może. Jeśli dadzą spokój.

Ułożyłem się. Quilla June drżała po tym wszystkim, co się jej przydarzyło.

- Nie przejmuj się - poradziłem. - Do rana chałupa będzie wypalona, a oni przegrzebią gruz, znajdą kupę pieczonego mięsa i może nie za bardzo będzie im się chciało szukać trupa cizi. I wszystko będzie w porządku, o ile się tu nie podusimy.

Uśmiechnęła się słabo, bardzo słabo, i próbowała wyglądać dzielnie. Niezła była. Zamknęła oczy, ułożyła się na materacu i chyba starała się zasnąć. Byłem wykończony. Też zamknąłem oczy.

- Poradzisz sobie? - zapytałem Blooda.

- Chyba tak. Prześpię się lepiej.

Nie otwierając oczu kiwnąłem głową i przewróciłem się na bok. Wyłączyłem się, zanim zdążyłem o tym pomyśleć.

Kiedy oprzytomniałem, stwierdziłem, że dziewczyna, ta Quilla June, wepchnęła mi się pod pachę, zarzuciła ramię na moją pierś i śpi jak kamień. Z trudem łapałem oddech. czułem się jak w kotle, kurwa, byłem w kotle. Wyciągnąłem rękę. Ściana była tak cholernie gorąca, że nie mogłem jej dotknąć. Tylko materac ratował nas od niezłego podsmażenia. Blood spał z głową między łapami. Ona też, ciągle naga.

Położyłem jej dłoń na piersi. Była ciepła. Drgnęła i mocniej przytuliła się do mnie. Działała na mnie.

Jakoś ściągnąłem spodnie i wlałem na nią. Rozbudziła się, kiedy poczuła, że rozsuwam jej nogi, ale wtedy było już za późno.

- Nie... przestań... co ty robisz... nie, nie...

Ale była jeszcze senna, słaba, no i nie sądzę, żeby naprawdę chciała się bronić. Oczywiście, kiedy jej wsadziłem, krzyknęła, lecz potem poszło już gładko. Cały materac był we krwi. A Blood spał dalej.

To było coś zupełnie innego. Na ogół kiedy już namówię Blooda, żeby mi coś wyniuchał, łapie, rżnę i zwiewam zanim stanie się coś niedobrego. Ale ona, kiedy już dociągnęła, uniosła się i objęła mnie. Myślałem, że mi żebra połamie. Potem osunęła się, wolno, wolno, wolno jak ja, kiedy robię przysiady w tej prowizorycznej sali treningowej na składowisku starych samochodów. Miała zamknięte oczy i była odprężona. I szczęśliwa. To było widać.

Robiliśmy to jeszcze mnóstwo razy. Po pewnym czasie ona sama tego chciała, a ja nie mówiłem „nie”. A potem leżeliśmy obok siebie i rozmawialiśmy.

Spytała mnie, jak to było z Bloodem, więc opowiedziałem, jak psy bojowe stały się telepatami, jak utraciły umiejętność polowania, więc single i gitpaki musiały to dla nich robić i jak psy, takie jak Blood, były dobre w szukaniu cizi dla singli, takich jak ja. Nic na to nie odpowiedziała.

Zapytałem, jak to wygląda tam, gdzie mieszka, w jednym z podspodów.

- Jest bardzo ładnie. To po prostu małe miasteczko.

- A w którym ty mieszkasz?

- W Topeka. Całkiem niedaleko stąd.

- Tak, wiem. Do skokszybu wejściowego jest stąd jakieś pół mili. Byłem tam raz, żeby się rozejrzeć.

- Byłeś już kiedyś w podspodzie?

- Nie. Ale chyba mi na tym nie zależy.

- Dlaczego? Tam jest miło. Spodobałoby ci się.

- Gównno.

- To było bardzo niegrzeczne.

- Bo ja jestem niegrzeczny.

- Ale nie zawsze.

Zaczynała mnie wpieniać.

- Słuchaj no, cipciu, co się z tobą dzieje? Dorwałem cię, rozstawiłem po kątach, zgwałciłem z pół tuzina razy, więc co takiego dobrego we mnie widzisz, co? A może nie masz dość rozumu, żeby poznać, że ktoś cię...

Uśmiechnęła się.

- To mi nie przeszkadzało. Nawet podobało mi się. Chciałbyś jeszcze raz?

Zaskoczyła mnie. Odsunąłem się od niej.

- Co z tobą, kurwa? Czy nie wiesz, że single naprawdę potrafią poharatać taką cizię z podspodu jak ty? Nie wiesz, że w podspodach rodzice ostrzegają cizie: „Nie wygórzej się, bo zachapią cię te brudne, zarośnięte, zaślinione single”? Nie wiesz o tym?

Położyła mi rękę na nodze i przesuwiała ją w górę, ledwie dotykając końcami palców mojego uda. Znowu na mnie zadziałała.

- Moi rodzice nigdy tak o singlach nie mówili - oświadczyła. A potem wciągnęła mnie na siebie, pocałowała i nie mogłem się powstrzymać, żeby jej znowu nie zerznąć.

Jezu, to trwało przez dobrych parę godzin. Po jakimś czasie Blood odwrócił się.

- Nie mam zamiaru dłużej udawać, że śpię - poinformował - Jestem głodny. I ranny.

Zepchnąłem ją z siebie, tym razem ona była na górze i obejrzałem go. Doberman wygryzł mu niezły kawałek prawego ucha, miał szramę wzdłuż pyska i zlepioną krwią sierść na boku. Był rozbabrany.

- Jezu, chłopie, ale jesteś rozbabrany.

- Ty, Albercie, też nie wyglądasz jak pieprzony różany ogród - warknął. Cofnąłem ręce.

- Możemy stąd wyjść? - spytałem.

Poniuchał trochę i pokręcił głową.

- Nie mam odczytu. Kupa gruzu leży pewnie na tym kotle. Będę musiał wyjść i trochę się rozejrzeć.

Przez chwilę omawialiśmy tę sprawę. Zdecydowaliśmy w końcu, że jeśli budynek się rozleciał i trochę ostygł, to gitpaka już przetrząsnęła popioły. Fakt, że nie sprawdzali w kotle, wskazywał, że byliśmy solidnie zasypani. Albo mury nad nami wciąż się tliły. W takim wypadku byłoby jeszcze na górze czekając, żeby przesiać resztki.

- Sądzisz, że dasz sobie radę? W takim stanie?

- Chyba nie mama innego wyjścia, prawda? - odparł zgryźliwie. - To znaczy, co mogę zrobić, jeśli ty tak pracowicie przy pomocy pieprzenia wytrząsasz sobie mózg spod czachy?

Czułem, że będzie z nim zgryz. Nie lubił Quilli June. Przcisnąłem się obok niego i pchnąłem pokrywę kotła. Nie chciała się ruszyć. Oparłem się więc plecami o ścianę, przyłożyłem nogi i zacząłem je powoli, równo prostować.

Cokolwiek przywaliło nas z zewnątrz, trzymało przez jakąś minutę, potem zaczęło ustępować, aż wreszcie zważyło się z hukiem. Otworzyłem bramkę na oścież i wyjrzałem. Górne piętra zwały się do piwnicy, ale zanim runęły, został z nich tylko lekki żużel i popiół, wszystko dookoła dymiło, ale mogłem dostrzec światło dnia.

Wyskoczyłem, parząc sobie ręce o brzeg pokrywy. Blood poszedł za mną. Zaczął szukać drogi przez gruzy. Zauważyłem, że kocioł był prawie zupełnie pokryty przez spadające z góry śmieci. Była szansa, że chłopcy z gitpaki rozejrzeli się szybko, doszli do wniosku, żeśmy się usmażyli, i dali spokój. Wolałem jednak, żeby Blood to sprawdził. Odszedł już, ale go zawołałem, wrócił.

Spojrzałem na niego.

- Co jest?

- Powiem ci, co jest, chłopie. Postępujesz jak zasraniec.

- Kurwa, czepiasz się, psie. Co ci wlało w dupę?

- Ona. Ta wszawa dziwka, którą tam trzymasz.
- Też coś... wielkie rzeczy... to nie pierwsza cizia.
- Tak. Ale żadna dotąd tak się nie kleiła. Ostrzegam cię, Albercie, będziesz miał z nią kłopoty.
- Nie pieprz.

Nie odpowiedział. Tylko spojrział na mnie gniewnie i zmył się, żeby zbadać scenę.

Wlazłem z powrotem do środka i zamknąłem pokrywę. Chciała jeszcze raz, ale powiedziałem, że nie mam ochoty. Blood mnie podłamał. Miałem dość. I nie wiedziałem, do kogo z nich się o to przypieprzyć.

Ale, Jezu, ona była piękna.

Nadeła się niby i usiadła, zasłaniając się rękoma.

- Opowiedz mi coś o podspodzie - poprosiłem.

Z początku marudziła trochę i nie chciała mówić, ale potem się rozgadała. Dużo się dowiedziałem. Pomyślałem, że może kiedyś będzie mi to potrzebne.

W tym, co zostało ze Stanów Zjednoczonych i Kanady było tylko parę setek podspodów. Wryto je w miejscach, gdzie były szyby, Kopalnie albo inne głębokie dziury w ziemi. Na zachodzie niektóre mieściły się w naturalnych jaskiniach. Leżały wszystkie jakieś dwie do pięciu mil pod powierzchnią. A zamieszkali w nich ludzie, którzy byli najgorszego gatunku płaszczakami. Południowi Baptyści, Fundamentalisci, durnie z Prawa i Porządku, prawdziwe mieszczańskie płaszczaki, bez zrozumienia dla swobodnego życia. Powrócili do stylu, który nie istniał od stu pięćdziesięciu lat. Załapali ostatnich naukowców, żeby dla nich pracowali, wykombinowali wszystko jak-i-dlaczego, a potem ich wypieprzyli. Nie chcieli żadnego postępu, nie chcieli żadnych rozbieżności, nie chcieli niczego, co robi akcję. Mieli tego dosyć. Najlepsze czasy były tuż przed Pierwszą Wojną, a oni wymyślili, że jeśli będą żyć tak, jak wtedy, to będą mieć spokój i przeżyją. Gównu! W takim podspodzie ześwirowałbym kompletnie.

Quilla June uśmiechnęła się, przytuliła, i tym razem jej nie odepchnąłem. Znowu zaczęła mnie dotykać, tak i wszędzie, a potem powiedziała:

- Vic?
- Uhm...
- Czy byłeś kiedyś zakochany?
- Co?
- Zakochany. Czy kochałeś kiedyś dziewczynę?
- No, kurwa, jasne, że nie.
- A czy wiesz, co to znaczy kochać?
- Pewno. Chyba, że wiem.
- Ale jeśli nigdy nie byłeś zakochany... ?
- Nie świruj. Nigdy nie miałem kulki w mózgu, ale wiem, że by mi się to nie podobało.
- Nie masz pojęcia, co to znaczy kochać. Mogę się założyć.
- Wiesz, jeśli to ma znaczyć życie w podspodzie, to wolę się nie dowiadywać.

Potem rozmowa już długo nie trwała. Pociągnęła mnie na dół i zrobiliśmy to znowu. A kiedy było po wszystkim, usłyszałem, że Blood drapie w ścianę kotła. Otworzyłem klapę. Stał tam.

- Droga czysta - stwierdził.

- Jesteś pewien?

- Tak, tak, jestem pewien. - Załóż spodnie - powiedział to z wyraźną drwiną. - I wyłaź. Musimy pogadać.

Przyjrzałem mu się. Nie żartował. Wciągnąłem dzinsy i trampki i wyszedłem z kotła.

Pobiegł przede mną na zewnątrz. Sala się zawaliła. Przypominała spróchniały korzeń zęba.

- Co ci się fajczy? - spytałem.

Wdrapał się na kawał betonu i stanął prawie nos w nos ze mną.

- Robisz mnie w jajo, Vic.

Wiedziałem, że mówi poważnie. Żadnego pierdolonego Alberta, po prostu Vic.

- Jak to?

- Zeszłej nocy, chłopie. Mogliśmy się stąd wyrwać i zostawić ją im. To by było mądre.

- Chciałem ją mieć.

- Tak, wiem. Właśnie o to mi chodzi. Teraz nie ma już zeszłej nocy, teraz jest dzisiaj. Miałeś ją już z pięćdziesiąt razy. Po co tu jeszcze siedzimy?

- Chcę jeszcze.

Wtedy się wściekł.

- Posłuchaj, chłopaczku. Ja też chcę paru rzeczy. Chcę dostać coś do jedzenia. Chcę, żeby przestało mnie boleć. I chcę się zmyć z tego terenu. Oni mogą tak łatwo nie zrezygnować.

- Nie łam się. Poradzimy sobie. Nie znaczy, żeby nie mogła iść z nami.

- Nie znaczy, że nie może - poprawił mnie. - A więc to jest twoja nowa bajeczka. Będziemy podróżować we trójkę, tak?

Zaczynał mnie denerwować.

- Pieprzysz jak jakiś pudel.

- A ty jak bokser.

Zamachnąłem się, żeby go palnąć. Nie ruszył się. Opuściłem rękę. Nigdy jeszcze nie uderzyłem Blooda. Nie chciałem zaczynać teraz.

- Przepraszam - powiedział cicho.

- W porządku.

Ale nie patrzyliśmy na siebie.

- Vic, chłopie, jesteś za mnie odpowiedzialny.

- Nie musisz mi przypominać.

- Nie jestem pewien. Chyba naprawdę powinienem ci coś przypomnieć. Na przykład, jak ten lekowrask wylazł na ulicę i chciał cię capnąć.

Zadrzałem. Ten skurwiel był zielony. Równiutko zielony. I lśnił jak próchno. Flaki podeszły mi do gardła na samo wspomnienie.

- I skoczyłem na niego. Zgadza się?

Kiwnąłem głową. Zgadza się, kundlu, zgadza.

- I mogłem się poparzyć i umrzeć, i tyle bym z tego miał, słusznie czy nie. Czy to nie czysta prawda?

Znów pokiwałem głową. Dopieprzał mi czyściutko. Nie lubię czuć się winnym. Sprawy między mną a Bloodem stały równo i on o tym wiedział.

- A jednak zrobiłem to, zgadza się?

Przypomniałem sobie, jak wrzeszczało to zielone coś. Chryste, to było jak kwas pod rzęsy.

- Dobra, dobra, nie operuj tak.

- Nie „operuj”, tylko „peroruj”.

- WSZYSTKO JEDNO CO! - ryknąłem. - Przestań truć, albo możemy zapomnieć o całej tej pierdolonej umowie.

Blood też nie wytrzymał.

- Może powinniśmy zapomnieć, ty prymitywny, tępy putzu!

- Co to jest putz, zasrańcu? Czy to coś paskudnego... tak, na pewno... zamknij swój pierdolony pysk, bo dostaniesz kopa w dupę!

Potem siedzieliśmy i milczeliśmy przez jakieś piętnaście minut. Żaden z nas nie wiedział jak wybrnąć z tej sytuacji.

W końcu ustąpiłem trochę. Mówiłem cicho. Mówiłem powoli. Doszliśmy razem aż tutaj i miałem zamiar słuchać jego rad, tak jak dotąd; on mi pogroził i powiedział, że tak będzie dla mnie lepiej, bo po mieście łązi paru smutnych singli, którzy byliby zachwyceni mając takiego ostrego tropiciela jak on; odpowiedziałem, że nie lubię jak ktoś mi grozi i żeby lepiej uważał, gdzie łązi, bo połamię mu te jego pieprzone łapy. Wtedy on się wpienił i poszedł. Powiedziałem, żeby się odpieprzył i wróciłem do kotła, żeby znów pobawić się z Quillą June.

Ale kiedy wetknąłem głowę do środka, ona czekała na mnie z pistoletem od któregoś z zabitych gitów. Walnęła mnie szybko i solidnie powyżej prawego oka. Padłem na pokrywę i byłem zimny.

## VI

Mówiłem, że to nie dla ciebie.

Patrzył, jak przecieram rozcięcie środkiem dezynfekującym z zestawu i potem zamalowuję ranę jodyną. Uśmiechnął się głupio, gdy syknąłem.

Odłożyłem zestaw i przeszukałem kocioł. Zebrałem całą amunicję, którą mogłem unieść i zagrzebałem Browninga. Zamiast niego wziąłem cięższy 30-06. A potem znalazłem coś, co musiało wypaść z jej ubrania.

To była mała metalowa płytka, długa na jakieś trzy i pół cala, a szeroka na półtora. Był na niej rząd cyfr i pełno dziurek, rozrzuconych całkiem nieregularnie.

- Co to? spytałem Blooda.

- Chyba rodzaj karty identyfikacyjnej. Pewnie tego właśnie użyła wychodząc z podspodu.

Wtedy się zdecydowałem. Wepchnąłem płytkę do kieszeni i wyszedłem. Ruszyłem w stronę skoksybu wejściowego.

- Gdzie leziesz, do diabła? - wrzasnął Blood. - Wracaj, zabiją cię tam.

- Jestem głodny, kurwa!

- Albert, ty skurwysynu! Wracaj natychmiast!

Szedłem dalej. Miałem zamiar znaleźć tę dziwkę i policzyć się z nią choćbym nawet musiał zejść do podspodu.

Godzinę zajęło mi dotarcie do skokszybu wejściowego Topeka. Miałem wrażenie, że Blood idzie za mną, ale trzyma się z tyłu. Zwisalo mi to. Byłem wściekły.

A potem byłem już na miejscu przy wysokiej, prostej, gładkiej kolumnie z czarnego błyszczącego metalu. Miała jakieś dwadzieścia stóp średnicy, idealnie płaska od góry, znikala w ziemi. To była przykrywka, nic więcej. Podeszedłem prosto do niej i zacząłem szukać w kieszeni tej metalowej karty. Wtedy coś pociągnęło mnie za prawą nogawkę.

- Posłuchaj mnie, kretynie. Nie możesz tam zejść!

Odkopnąłem go, ale wrócił.

- POSŁUCHAJ MNIE!

Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Usiadł. Dookoła wzniósł się obłok kurzu.

- Albercie...

- Na imię mi Vic, ty mała jajossawo.

- Dobrze, dobrze, nie denerwuj się - jego głos złagodniał. - Vic. Chodź no tu, chłopie.

Staral się do mnie trafić. Gotowałem się cały, serio, ale on próbował być rozsądny. Wzruszyłem ramionami i kucnąłem przy nim.

- Słuchaj, chłopie - powiedział. - Ta cizia trochę przegięła. Wiesz przecież, że nie możesz tam iść. Tam wszystko jest płaskie i ustawione, a wszyscy wszystkich znają. I nienawidzą singli. Gitpaki na tyle często napadały podspody, gwałciły dupy i kradły żarcie, że cały czas trzymają gardę w górze. Chłopie, oni cię zabijają!

- Co cię to, kurwa obchodzi? Zawsze mówiłeś, że beze mnie poradziłbyś sobie lepiej.

Oklapł, kiedy to usłyszał.

- Vic, jesteśmy razem już prawie trzy lata. Na dobre i na złe. Ale to, co robisz, może być najgorsze. Boję się, chłopie. Boję się, że nie wrócisz. A ja jestem głodny i będę musiał znaleźć jakiegoś oferme, który by się mną zajął. A sam wiesz, że większość singli jest teraz w pakach, więc będę marnym kundlem. Nie jestem już taki młody. I jestem ranny.

Mogłem to pojąć. Mówił z sensem. Ale umiałem myśleć tylko o tym, jak ta dziwka, ta Quilla June, mnie stuknęła. A zaraz potem pojawiły się obrazy jej miękkich piersi i to, jak jęczała cicho, kiedy w nią wchodziłem. Potrząsnąłem głową. Wiedziałem, że muszę się z nią rozliczyć.

- Muszę to zrobić Blood. Muszę.

Westchnął ciężko i oklapł jeszcze bardziej. Wyczuł, że nie ma sensu ciągnąć tego dalej.

- Nie potrafisz nawet pojąć, co ona z tobą zrobiła, Vic.

Wstałem.

- Postaram się wrócić szybko. Poczekasz?

Milczał przez chwilę, a ja czekałem.

- Przez jakiś czas - powiedział wreszcie. - Może tu będę, a może nie.

Zrozumiałem. Odwróciłem się i ruszyłem dookoła tej kolumny z czarnego metalu. W końcu znalazłem szparę i wsunąłem tam kartę. Usłyszałem ciche buczenie i ściana rozsunała się, nie widziałem nawet krawędzi poszczególnych płyt. Podeszedłem i obejrzałem się. Za mną stał Blood i patrzył na mnie. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę, a kolumna cały czas buczała.

- Na razie, Vic.

- Uważaj na siebie, Blood.

- Wracaj szybko.
- Jak tylko będę mógł.
- Dobra, jasne.

A potem odwróciłem się i wszedłem do środka. Brama wejściowa zsunęła się za mną.

## VII

Powinienem się domyśleć. Powinienem coś podejrzewać. Pewno, co jakiś czas zdarza się, że jakaś cizia wyłazi na górę, żeby zobaczyć jak tam wygląda na powierzchni i co się stało z miastami; pewno, to się zdarza. Dlatego jej uwierzyłem, kiedy mówiła, skulona obok mnie w gorącym kotle, że chciała się przekonać, jak to jest, kiedy dziewczyna robi to z mężczyzną; że wszystkie migawy, które widziała w Topeka, były słodziutkie, solidne i nudne; że dziewczyny u niej w szkole rozmawiały o seks-migawach, a jedna miała taki ośmiostronicowy komiks, który czytały z wypiekami na twarzach... pewno, uwierzyłem jej. To było logiczne. Powinienem zacząć coś podejrzewać, kiedy zostawiła metalową id-płytkę. To było zbyt łatwe. Blood starał się mi to powiedzieć. Tepol? Jasne.

Kiedy przesłona wejścia zwinęła się za mną, buczenie stało się głośniejsze, a ściany zaczęły promieniować jakimś takim zimnym światłem. To było okrągłe pomieszczenie i miało tylko dwie strony: wewnętrzną i zewnętrzną. Ściana pulsowała światłem, buczenie było coraz głośniejsze, aż nagle podłoga, na której stałem, zaczęła się rozstępować tak, jak otwór wejściowy. Tyle że ja na niej stałem, jak ta mysz z kreskówki. I dopóki nie patrzyłem w dół, byłem spokojny, że nie spadnę.

A potem się zaczęło. Przeleciałem przez podłogę, przesłona zamknęła się, a ja leciałem tą rurą nabierając szybkości, ale nie za bardzo. Po prostu spadałem równo. Teraz wiedziałem, co to jest skoksyb.

Spadałem coraz niżej i niżej. Co chwilę widziałem na ścianie coś w rodzaju 10 POZ albo ANTYSKAZ 55 czy HODOW lub POMPY SEK 6 i mogłem rozróżnić segmenty przesłony... ale leciałem dalej.

W końcu przeleciałem całą trasę, aż do dna. Na ścianie był tam napis: GRANICA MIASTA TOPEKA, 22.860 MIESZK. Opadłem bezproblemowo. Ugiąłem kolana, żeby zamortyzować zderzenie, ale nawet to nie było potrzebne.

Znowu użyłem metalowej płytki, przesłona, tym razem dużo większa rozsunęła się i po raz pierwszy w życiu spojrzałem na podspód.

Rozciągał się przede mną na dwadzieścia mil, aż do zamglonego, lśniącego horyzontu z puszkowej blachy. Ściana za mną zakrzywiała się i zakrzywiała, aż zatoczyła pełny krąg i okrążyła, okrążyła i okrążyła powracając do miejsca, gdzie stałem i gapiłem się na nią. Znalazłem się na dnie metalowej rury ciągnącej się do sufitu, jedna ósma mili nad głową, dwudziestomilowej średnicy. A we wnętrzu puszkowej rury ktoś wybudowała miasto cholernie podobne do zdjęcia w jednej z przesiąkniętych wodą książek w bibliotece na powierzchni. Tam widziałem takie miasta. Dokładnie takie. Zadbane małe domki i wijące się wąskie uliczki, dzielnice handlowe i wszystko inne, co miałyby prawdziwe Topeka.

Z wyjątkiem słońca, z wyjątkiem ptaków, z wyjątkiem chmur, z wyjątkiem śniegu, z wyjątkiem chłodu, z wyjątkiem wiatru, z wyjątkiem mrówek, z wyjątkiem brudu, z wyjątkiem gór, z

wyjątkiem oceanów, z wyjątkiem rozległych pól zboża, z wyjątkiem gwiazd, z wyjątkiem księżyca, z wyjątkiem lasów, z wyjątkiem zwierząt na swobodzie, z wyjątkiem...

Z wyjątkiem wolności.

Byli tu zapuszkowani na dole, jak śnięte ryby. Zapuszkowani.

Poczułem, jak coś ściska mi gardło. Chciałem stąd wyjść. Wyjść!

Trząśłem się cały, dłonie miałem lodowate i pot zalewał mi czoło. To było szaleństwo, to zejście tutaj. Musiałem wyjść. Wyjść!

Odwrociłem się, żeby wrócić do skokszybu i wtedy to mnie złapało.

Ta suka Quilla June! Powinienem się spodziewać!

To było niewysokie, zielone, podobne do pudełka, miało kable z rękawicami zamiast rąk, jeździło na gąsienicach i złapało mnie.

Wciągnęło mnie na swój równy, płaski czubek, trzymając tymi rękawicami na kablach i nie mogłem się ruszyć. Mogłem co najwyżej kopać w wielkie szklane oko z przodu, ale nic mi z tego nie przyszło. Nie stukło się. To coś miało ledwo cztery stopy wysokości, więc prawie dotykałem trampkami ziemi, ale nie całkiem. Ruszyło w stronę Topeka, ciągnąc mnie za sobą.

Wszędzie było pełno ludzi. Siedzieli w bujanych fotelach na werandach, strzygli trawniki, łazili koło stacji benzynowej, pchali monety w automaty z gumą do żucia, malowali białą linię wzdłuż środka jezdni, sprzedawali gazety na rogu, słuchali durnego zespołu w muszli w parku, grali w klasy i w chodzi-lisek-koło-drogi, czyścili wóz strażacki, siedzieli na ławkach i czytali, myli okna, przycinali żywopłoty, kłaniali się paniom, zbierali butelki po mleku do druczianych pojemników, oporzadzali konie, rzucali patyk psu, żeby aportował, nurkowali w basenie, wypisywali kredą ceny jarzyn na tablicy przed sklepem, spacerowali za rękę z dziewczyną, a wszyscy gapili się na mnie, jak przejeżdżam na tym metalowym skurwielu.

Słyszałem słowa Blooda te, które wypowiedział tuż przed tym, jak wszedłem do skokszybu: „Tam wszystko jest płaskie i ustawione, a wszyscy wszystkich znają. Gitpaki na tyle często napadały na podspody, gwałcili dupy i kradły żarcie, że cały czas trzymają gardę w górze... Chłopie, oni cię zabijają!”

- Dzięki, kundlu.

- Żegnaj.

## VIII

Zielone pudło przejechało przez dzielnicę handlową i skręciło przed witrynę z napisem BIURO DOBRYCH INTERESÓW. Od razu wjechało przez otwarte drzwi do środka, gdzie czekało już na mnie pół tuzina mężczyzn, starych mężczyzn i bardzo starych mężczyzn. I parę kobiet. Tutaj się zatrzymało.

Jeden z facetów podszedł i wyjął mi z ręki metalową płytkę. Obejrzał ją, po czym podał najstarszemu ze starych mężczyzn, zasuszonemu kocurowi w workowatych spodniach, z zielonym cieniem na powiekach i podwiązkami, przytrzymującymi zawinięte rękawy pasiastej koszuli.

- Quilla June, Lew - powiedział.

Lew wziął płytkę i wrzucił do górnej szuflady biurka.

- Lepiej odebrać mu broń, Aaronie - stwierdził ten stary tuman. I facet, który zabrał mi płytkę, wyczyścił mnie.

- Teraz go puść, Aaronie - polecił Lew.

Aaron obszedł zielone pudło, coś szcęknięło w tylnej ścianie i kable-rękawice wessały się do ośrodka. Ramiona zdrętwiały mi w miejscach, gdzie pudło mnie trzymało. Rozmasowałem jedno, potem drugie i spojrzałem na nich.

- A więc chłopcze... - zaczął Lew.

- Nie pierdol, głąbie!

Kobiety pobladyły. Mężczyźni zacisnęli zęby.

- Mówiłem, że nic z tego nie wyjdzie - zwrócił się do Lewa inny stary mężczyzna.

- Marna z nim sprawa - dodał któryś z młodszych.

Lew pochylił się na krzesło i wycelował we mnie koślawy paluch.

- Lepiej bądź grzeczny, chłopcze.

- Mam nadzieję, że wszystkie twoje pierdolone dzieci są zezowate!

- To na nic, Lew - westchnęło babsko z haczykowatym nosem.

Lew przyglądał mi się. Jego wąskie wargi łączyły się w paskudną czarną krechę. Wiedziałem, że ten skurwysyn nie ma w swojej nędznej paszczy ani jednego zęba, który nie byłby spróchniały i cuchnący. Wpatrywał się we mnie złośliwie. Boże, był ohydny, jak ptak gotów odrywać mięso od moich kości. Szykował się do powiedzenia czegoś, co mi się nie spodoba.

- Aaronie, może lepiej znów oddasz go strażnikowi.

Aaron ruszył w stronę zielonego pudła.

- Dobra, nie trzeba - powiedziałem.

Aaron zatrzymał się i spojrzał pytająco na Lwa, który skinął głową. Potem znów się pochylił i wymierzył we mnie swój szpon.

- Obiecujesz zachowywać się właściwie, synu?

- Tak, chyba tak.

- Lepiej, żebyś był tego cholernie pewny.

- Dobrze. Jestem cholernie pewny. I jeszcze kurewsko pewny.

- I uważaj co mówisz.

Nie odpowiedziałem. Stary kretyn.

Jesteś dla nas, chłopcze czymś w rodzaju eksperymentu. Próbowaliśmy różnych sposobów, żeby ściągnąć któregoś z was tu, na dół.

Posłaliśmy paru dobrych ludzi, żeby złapali jednego z was, maluchów, ale nigdy nie powrócili. Pomyśleliśmy więc, że najlepiej będzie zwabić cię do nas.

Uśmiechnąłem się szyderczo. Ta Quilla June! Policzę się z nią.

Jedna z kobiet, trochę młodsza od Hakonosej, wystąpiła i spojrzała mi w twarz.

- Lew, on nigdy nie będzie tańczył jak mu zagrasz. To brudny mały morderca. Popatrz na jego oczy.

- Co byś powiedziała, gdyby wsadzić ci w dupę lufę strzelby?

Odkoczyła. Lew znowu się rozzłościł.

- Przepraszam - powiedziałem. - Ale nie lubię, jak ktoś mnie przezywa. Macho, rozumiesz?

Oparł się wygodnie.

- Zostaw go, Mez - warknął w stronę kobiety. - Próbuję rozsądnie się z nim dogadać. A ty wszystko utrudniasz.

Mez wróciła na miejsce i usiadła wśród innych. Ależ biuro dobrych interesów stworzyły te wypryski!

- Jak już powiedziałem, chłopcze, jesteś dla nas eksperymentem. Jesteśmy tu na dole, w Topeka, od prawie dwudziestu lat. Jest bardzo miło. Spokój, porządek, sympatyczni ludzie, którzy szanują się wzajemnie, żadnych przestępstw, szacunek dla starszych... w ogóle dobre miejsce do życia. Rozrastamy się i prosperujemy.

Czekałem.

- Ale cóż, stwierdziliśmy, że niektórzy z nas nie mogą mieć dzieci, a kobiety rodzą w większości dziewczynki. Potrzebujemy kilku mężczyzn. Pewnego specjalnego typu mężczyzn.

Wybuchnąłem śmiechem. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Potrzebny byłem do usług hodowlanych. Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

- Świnia - powiedziała jedna z kobiet marszcząc czoło.

- To dla nas bardzo przykra sprawa, chłopcze, więc nie pogarszaj naszej sytuacji. - Lew był zakłopotany.

To ja spędzałem większość mojego i Blooda czasu polując na cipki, a oni tu chcą, żebym obsługiwał miejscowe panie. Siedziałem na podłodze i śmiałem się tak, że łzy ciekły mi po policzkach.

W końcu wstałem.

- Pewnie - powiedziałem. - Zgadzam się. Ale w tym układzie jest parę rzeczy, których ja bym chciał.

Lew spojrzał na mnie z uwagą.

- Przede wszystkim chcę tej Quilli June. Mam zamiar przerznąć ją na ślepo, a potem stuknąć w łeb tak, jak ona mnie stuknęła.

Gadali przez chwilę między sobą.

- Nie możemy tolerować żadnych aktów przemocy tutaj, na dole - stwierdził Lew. - Ale sądzę, że możemy zacząć od Quilli June. Jest już zdolna, prawda, Ira?

Kościsty, żółtoskóry facet kiwnął głową. Nie wyglądał na zachwyconego. Mogłem się założyć, że to był stary Quilli June.

- No to zaczynajmy - powiedziałem. - Niech staną w kolejce.

Zacząłem rozpinać spodnie.

Baby podniosły wrzask, a faceci złapali mnie i odprowadzili do jakiegoś pensjonatu, gdzie miałem mieszkać. Powiedzieli, że zanim wezmę się do roboty, powinienem poznać trochę Topeka, jako że sprawa jest... e... hm... no... przykra i ludzie w mieście muszą mieć czas na zaakceptowanie tego, co musi się stać. Zakładali chyba, że jeżeli dobrze się spiszę, to sprowadzą z góry paru dodatkowych młodych byczków i spuszczą ze smyczy.

Tak więc spędziłem w Topeka trochę czasu. Poznawałem ludzi, przyglądałem się co robią i jak żyją. Było miło, naprawdę miło. Siedzieli w bujanych fotelach na werandach, strzygli swoje trawniki, łazili koło stacji benzynowej, pchali monety w automaty z gumą do żucia, malowali białe

linie na jezdniach, sprzedawali gazety na rogach, słuchali durnego zespołu w muszli w parku, grali w klasy i w chodzi-lisek-koło-drogi, czyścili wozy strażackie, siedzieli na ławkach i czytali, myli okna, przycinali żywopłoty, kłaniali się paniom, zbierali butelki po mleku do drucianych pojemników, oporządzali konie i rzucali patyki swoim psom, żeby aportowały, nurkowali w basenie, wypisywali kredą ceny na tablicach przed sklepami, spacerowali pod rękę z paroma najbrzydszymi ciziami, jakie w życiu widziałem i nudzili mnie po samą dupę.

Po tygodniu miałem ochotę wyć.

Czułem, jak ta blaszana puszka zaciska się wokół mnie.

Czułem ciężar ziemi nad głową.

Jadali sztuczne gówno: fałszywą fasolę, syntetyczne mięso, udawane kurczaki, ersatz kukurydzy i podrabiany chleb, a wszystko to miało dla mnie smak kredy i kurzu.

Uprzejmi? Chryste, można się było porzygać od hipokryzji i kłamliwych bzdur, które nazywali dobrym wychowaniem. Witam pana, panie Taki i Dzień dobry, pani Siaka. I Jak się pan miewa? I Jak tam mała Janie? I Jak idą interesy? I Czy wybiera się pani na czwartkowe zebranie? I zacząłem bełkotać w swoim pokoju w pensjonacie.

Słodziutki, czyściutki, miły i ładny styl życia to było aż nadto, żeby wykończyć faceta. Nic dziwnego, że ich mężczyźni nie potrafili zrobić dzieci, które miałyby jaja zamiast szpar.

Przez pierwsze parę dni patrzyli na mnie tak, jakbym za chwilę miał wybuchnąć i ubabrać gównem te ich wyszorowane do białości parkaniki. Ale potem się przyzwyczaili. Lew zabrał mnie do sklepu i wyposażył w odświętne portki oraz koszulę, którą każdy singiel wypatrzyłby z odległości paru mil. Mez, ta pomyłona suka, która nazwała mnie mordercą, zaczęła łązić koło mnie i w końcu powiedziała, że chciałaby obciąć mi włosy, żebym wyglądał kulturalnie. Ale wyczułem, o co jej chodzi. Ani trochę nie byłem typem macierzyńskim.

- W czym sprawa cipo? - spytałem. - Twój stary o ciebie nie dba?

Obśmiałem się jak norka, kiedy usiłowała wepchnąć sobie pięść w usta.

- Możesz mi obciąć jaja, dziecinko, ale moje włosy zostaną takie, jakie są.

Odwróciła się i uciekła. Pędziła, jakby miała diesla ze wspomaganiami.

I tak leciało przez jakiś czas. Łaziłem, a oni karmili mnie i trzymali z dala wszystkie młode ciała, dopóki nie przygotują miasta na to, co przychodziło ze mną.

Byłem tak przyduszony, że mózg nie działał mi jak trzeba. Dostałem klaustrofobii, byłem spięty, nocami wychodziłem i siadałem pod werandą pensjonatu. Potem to minęło i zacząłem wszystko olewać, warczałem na nich, potem byłem pewny siebie, potem cichy, a potem zwyczajnie równy jak bagno. Spokojny.

A potem zacząłem szukać sposobu wydostania się. Przypomniałem sobie pudła, którym kiedyś nakarmiłem Blooda. Musiał pochodzić z podspodu. I nie mógł wyjść skokszybem. A to oznaczało, że istniały inne wyjścia.

Dopóki zachowywałem się właściwie i nie wykonywałem żadnych gwałtownych ruchów, mogłem swobodnie chodzić po mieście. To zielone strażnicze pudło zawsze plątało się w pobliżu. Ale i tak znalazłem wyjście. Nic wielkiego, po prostu musiało tam być, a ja do niego trafiłem.

Potem dowiedziałem się, gdzie schowali moją broń. Wtedy byłem już gotów. Prawie.

## IX

Minął równo tydzień, zanim Aaron, Lew i Ira po mnie przysłali. Byłem już zupełnie ogłupiały. Siedziałem na tyłach pensjonatu i ssałem fajkę z kaczana kukurydzy, bez koszuli, żeby złapać choć trochę słońca. Tyle, że tu nie było żadnego słońca. Świrus.

Obeszli dom dookoła.

- Dzień dobry, Vic - przywitał mnie Lew. Utykał, więc przylaźł z laską, stary pierdziel. Aaron uśmiechał się szeroko. Tak można się uśmiechać do wielkiego czarnego byka, który ma właśnie wepchnąć swój kawał mięcha dobrej zarodowej krowie. Ira wyglądał tak, że można by go połupać i użyć na podpałkę.

- Sie masz, Lew. Cześć, Aaron, cześć, Ira.

Lew wyglądał na zachwyconego. Poczekaj tylko, ty wredny skurwysynu!

- Czy jesteś gotów na spotkanie ze swoją pierwszą damą?

- Zawsze jestem gotów, Lew - powiedziałem i podniosłem się.

- Niezły tytoń, prawda? - spytał Aaron.

Wyciągnąłem kukurydżę z ust.

- Czysta rozkosz - uśmiechnąłem się. Nawet nie zapaliłem tego pieprzonego świństwa.

Zaprowadzili mnie na Marigold Street, a kiedy doszliśmy do małego domku z żółtymi okiennicami, Lew powiedział:

- To jest dom Iry. Quilla June jest jego córką.

- Rany ziemi - mruknąłem i wytrzeszczyłem oczy.

Ira zacisnął zęby.

Weszliśmy.

Quilla June siedziała na kanapie obok matki, starszej wersji samej siebie, chudej jak uschnięta łapa.

- Witam, pani Holmes - powiedziałem i wykonałem ukłon. Uśmiechnęła się. Była spięta, ale uśmiechnięta.

Quilla June siedziała, trzymając nogi razem, z rękami na kolanach. We włosach miała wstążkę. Niebieską.

Taką, jak jej oczy.

Coś zaczęło mi walić w środku.

- Quilla June - powiedziałem.

Podniosła głowę.

- Dzień dobry, Vic.

Wszyscy stali po kątach i głupio wyglądali. W końcu Ira zaczął coś truć na temat niech już idą do sypialni i niech ten grzech przeciw naturze będzie wreszcie za nimi, żeby mogli iść do Kościoła i modlić się, aby Dobry Bóg nie poraził ich wszystkich piorunem w dupy. Czy inne podobne bzdury.

No więc wyciągnąłem rękę, Quilla June sięgnęła po nią nie patrząc i poszliśmy na tyły domu, do małej sypialni. Tam zatrzymała się ze spuszczonego wzrokiem.

- Nie powiedziałaś im, prawda? - zapytałem.

Pokręciła głową.

I nagle wcale już nie chciałem jej zabić. Chciałem ją przytulić. Bardzo mocno. I zrobiłem to. A ona płakała na mojej piersi i zaciskała pięści obejmując mnie za szyję, a potem popatrzyła na mnie i zaczęła mówić wszystko na raz.

- Och, Vic, tak mi strasznie przykro, nie chciałam tego zrobić, ale musiałam, po to mnie posłali, tak się bałam i kocham cię, a teraz mają cię tu na dole i to wcale nie jest brudne, prawda, to jest tak, jak mówi papcio, prawda?

Tuliłem ją i całowałem i tłumaczyłem, że wszystko jest w porządku, a potem zapytałem, czy chce ze mną uciec, a ona powiedziała, że tak tak tak, naprawdę chce. Więc uprzedziłem ją, że żeby się wydostać będzie może musiał zranić jej papcia, a ona rzuciła mi spojrzenie, które znałem naprawdę dobrze.

Pomimo całego swojego dobrego wychowania Quilla June niezbyt lubiła swojego rozmodlonego papcia.

Spytałem, czy ma coś ciężkiego, choćby lichtarz albo kawał drąga, a ona powiedziała, że nie. Zacząłem więc grzebać po pokoju, aż znalazłem w szufladzie parę skarpet papcia. Oderwałem od łóżka dwie duże mosiężne kulki i wrzuciłem je do skarpety. Zważyłem ją w rękę. O, tak.

Przyglądała mi się rozszerzonymi oczami.

- Co masz zamiar zrobić?

- Chcesz się stąd wydostać?

Kiwnęła głową.

- No to stań za drzwiami. Albo nie, zaczekaj chwilę. Mam lepszy pomysł. Włóż do łóżka.

Położyła się.

- Dobra - stwierdziłem. A teraz zadrzyj spódnice, ściągnij majtki i rozkracz się.

Spojrzała na mnie ze zgrozą.

- Zrób to, jeżeli chcesz się stąd wydostać.

No więc zrobiła to, a ja trochę ułożyłem, żeby miała nogi ugięta w kolanach i rozchylone uda, a potem stanąłem przy drzwiach.

- Zawołaj papcia - szepnąłem. - Tylko jego.

Wahała się przez dłuższą chwilę, aż w końcu krzyknęła wcale nie udawanym tonem:

- Papciu! Papciu, przyjdź tu! Proszę!

Ira Holmes wszedł, spojrzał na swoje tajemne pożądanie i szczeka mu opadła. Kopniakiem zamknąłem drzwi i trzepnąłem go z całej siły. Rozmazał się trochę, opryskał pościel i padł na podłogę.

Quilla June otworzyła oczy, kiedy usłyszała trzaśnięcie, a gdy mąż obryzgała jej nogi przechyliła się i rzygnęła na podłogę. Wiedziałem, że nie ma co liczyć na jej pomoc w ściąganiu Aarona, więc otworzyłem drzwi, wystawiłem głowę i zrobiłem zmartwioną minę.

- Aaronie, pozwól na chwileczkę, dobrze?

Spojrzał na Lewa, który paplał z panią Holmes o tym, co się dzieje w sypialni, a kiedy tamten skinął mu głową, przyszedł do pokoju. Zobaczył odkrytą kępkę Quilli June, krew na ścianie i pościeli i Irę na podłodze. Chciał krzyknąć i otworzył usta dokładnie w chwili, kiedy go trzasnąłem. Musiałem jeszcze dwa razy, żeby się zważył, a potem trzeba było go kopnąć w klatę, żeby nie leżał na drodze. Quilla June ciągle rzygała.

Złapałem ją za ramię i ściągnąłem z łóżka. Przynajmniej była cicho, ale rany, jak śmierdziała.

- Idziemy!

Próbowała się bronić, ale trzymałem mocno. Otworzyłem drzwi. Kiedy ją wyciągałem, Lew wstał, podpierając się laską. Wykopałem ją spod tego starego pierdziała i padł jak worek kości. Pani Holmes patrzyła na nas i pewnie się zastanawiała, co się stało z jej starym.

- Jest w sypialni - powiedziałem, idąc w stronę drzwi frontowych. - Dobry Bóg strzelił go w łeb.

A potem byliśmy na ulicy. Quilla June cuchnęła za mną, szarpała ją mdłości i pewnie próbowała wykombinować, gdzie są jej majtki.

Moją broń trzymali w zamkniętej szafce w Biurze Dobrych Interesów. Poszliśmy tam okrężną drogą, przez mój pensjonat, gdzie wyciągnąłem spod werandy zwinięty ze stacji benzynowej łom. Potem przebiegliśmy tyłami Grande do dzielnicy handlowej i prosto do BDI. Jakiś urzędnik próbował mnie zatrzymać, więc rozwaliłem mu łomem bańkę. Potem wyważyłem drzwiczki do szafki w biurze Lewa i zabrałem moją 30-06, moją czterdziestkę piątkę, całą amunicję, mój szpikulec i mój nóż, i moją apteczkę. Załadowałem wszystko. Quilla June mogła już coś z siebie wykrztusić.

- Gdzie teraz pójdziemy, gdzie pójdziemy, och papciu, papciu, papciu...!

- Słuchaj no dziecinko, nie papciuj mi tu papciami. Powiedziałaś, że chcesz być ze mną... a ja wracam na górę, więc jeśli masz ochotę się zabrać, to lepiej trzymaj się blisko.

Była zbyt przerażona, żeby się sprzeciwić.

Wyszedłem na ulicę i zobaczyłem zielone pudło, gnające w naszą stronę jak chart. Miało wysunięte kable, ale rękawice zniknęły. Teraz były tam haki.

Przyklęknałem, owinałem wokół przedramienia pas z 30-06, wymierzyłem i palnąłem prosto w szklane oko na przodzie. Jeden strzał i trzask!

Oko wybuchło deszczem iskier, a zielone pudło skręciło i wjechało przez wystawę do The Mill End Shoppe, zgrzytając, jęcząc i zasypując wszystko prysznicem płomieni i odłamków. Prześlizgnie.

Odwróciłem się, żeby złapać Quillę June, ale jej nie było. Spojrzałem na ulicę i zobaczyłem całą ich straż obywatelską. Lew z tą swoją laską kuśtykał na czele, podobny do jakiegoś niesamowitego pasikonika.

I wtedy rozległy się strzały, głośnie i dudniące. To była czterdziestka piątkę, którą dałem Quilli June. Spojrzałem w górę, na balkon wokół pierwszego piętra. Stała tam, opierając splewę o poręcz, jak zawodowiec. Celowała w tłum i waliła raz za razem niby Dzikie Bill Elliott w republikańskiej migawie z czterdziestego.

Ale była tępą! Rany, jaka tępą! Tak marnować czas, kiedy trzeba się było szybko zmywać.

Znalazłem wewnętrzne schody i pobiegłem na górę, po trzy stopnie na raz. Uśmiechnęła się, wybuchała śmiechem, a za każdym razem, kiedy brała na cel kogoś z tych cymbałów, w kącikach jej ust pojawiał się czubek jej małego, różowego języczka, oczy zaczynały jej błyszczeć i trzask! cymbał walił się na ziemię.

Naprawdę ją to bawiło.

Kiedy do niej podbiegłem, celowała właśnie w swoją chudą matkę. Trzepnąłem ją w potylicę i spudłowała, a starsza pani odskoczyła tanecznym krokiem w bok i szła dalej. Quilla June potrząsnęła głową. W oczach miała śmierć.

- Przez ciebie chybiłam - powiedziała, a ja poczułem dreszcz, kiedy usłyszałem jej głos.

Zabrałem jej czterdziestkę piątkę. Głupia. Tak marnować amunicję.

Pociągnąłem ją za sobą dookoła budynku, znalazłem przybudówkę na tyłach, zeskoczyłem na dach i kazałem jej iść za mną. Z początku trochę się bała, ale powiedziałem:

- Cizia, która tak luzacko strzela do swojej matki, nie powinna się przejmować takim małym skokiem.

Stała na krawędzi, po zewnętrznej stronie poręczy, i czekała.

- Nie martw się - pocieszyłem ją. - Nie narobisz w majtki. Nie masz ich.

Zaśmiała się jak ptak i skoczyła. Złapałem ją i ześliznęliśmy się na ziemię po drzwiach szopy. Sekundę zajęło mi zorientowanie się, czy tłum nie podszedł zbyt blisko. Nikogo nie było widać.

Pociągnąłem Quillę June za ramię i ruszyliśmy w stronę południowej granicy Topeka. Tam było najbliższe wyjście, jakie odkryłem, włączając się po mieście. dotarliśmy po piętnastu minutach, zdyszani i słabi jak kociaki.

Był na miejscu szeroki przewód wentylacyjny.

Odbiłem łomem klamry i weszliśmy do środka. Były tam drabinki ciągnące się do góry. Musiały być. To się zgadzało. Naprawy. Czyszczenie. Musiały. Zaczęliśmy się wspinać. Zajęło nam to dużo, dużo czasu.

Quilla June, ile razy była zbyt zmęczona, by iść dalej, pytała mnie ciągle z dołu:

- Vic, kochasz mnie?

Odpowiadałem stale, że tak. Nie tylko dlatego, że to była prawda. To dodawało jej sił.

## X

Wyszliśmy na górę o jakąś Milę od skokszybu wejściowego. Odstrzeliłem osłony filtracyjne i sworznie pokrywy, a potem wyleźliśmy na zewnątrz. Ci na dole powinni bardziej uważać. Nie można olewać Jimmy'ego Cagneya.

Nie mieli szans.

Quilla June była wykończona. Nie miałem pretensji. Ale nie chciałem spędzać nocy na dworze. Były tu rzeczy, z którymi wołałem się nie spotykać nawet za dnia.

Zaczynało się ściemniać.

Ruszyliśmy w stronę skokszybu.

Blood czekał. Wyglądał marnie. Ale czekał.

Schyliłem się i podniosłem jego głowę. Otworzył oczy.

- Hej - powiedział bardzo cicho.

Uśmiechnąłem się do niego. Jezu, jak dobrze było znowu go zobaczyć.

- Wróciliśmy, chłopie.

Spróbował wstać, ale nie dał rady. Jego rany robiły paskudne wrażenie.

- Jadłeś coś? - spytałem.

- Nie. Złapałem wczoraj jaszczurkę... a może to było przedwczoraj... Jestem głodny, Vic.

Wtedy pokazała się Quilla June i Blood ją zobaczył. Zamknął oczy.

- Lepiej się pośpieszmy, Vic - powiedziała. - Proszę. Mogą wyjść skokszybem.

Spróbowałem podnieść Blooda, ale to był martwy ciężar.

- Posłuchaj, Blood, dojdę do miasta i znajdę coś do żarcia. Niedługo wrócę. Po prostu czekaj tutaj.

- Nie chodź tam, Vic - odparł. - Zrobiłem wywiad dzień po twoim zejściu. Dowiedzieli się, żeśmy się nie usmażyli w tej sali gimnastycznej. Nie wiem jak. Może kundle wyniuchały nasz ślad. Pilnowałem tutaj i nie próbowali iść za nami. Trudno mieć im to za złe. Chłopie, nie masz pojęcia, jak to wygląda nocą... nie masz pojęcia - zadrzał.

- Nie łam się, Blood.

- Ale naznaczyli nas wszarzami w całym mieście, Vic. Nie możemy tam wrócić. Musimy poszukać czegoś innego.

To wyglądało gorzej. Nie mogliśmy wracać, a z Bloodem w takim stanie nie mogliśmy iść naprzód. Byłem dobrym singlem, ale wiedziałem, że bez niego nie dam sobie rady. I nie było nic do żarcia. On musiał coś zjeść, natychmiast, i potrzebuje opieki. Musiałem coś zrobić. Szybko i dobrze.

- Vic! - głos Quilli June był błagalny i piskliwy. - Chodźmy! On wyzdrowieje. A my musimy się spieszyć.

Spojrzałem na nią. Zachodziło słońce, a Blood drżał w moich ramionach.

Zrobiła nadąsaną minę.

- Jeżeli mnie kochasz, to chodź już.

Nie dałbym sobie rady bez niego. Wiedziałem o tym. Jeżeli ją Kocham. Pytała mnie w tym kotle: czy wiesz, co to znaczy kochać?

\* \* \*

To było małe ognisko, o wiele za małe na to, żeby jakaś gitpaka wypatrzyła je z obrzeży miasta. Bez dymu. A kiedy Blood zjadł swoją działkę przenieśliśmy go do przewodu wentylacyjnego. Spędziliśmy noc na niedużym występie w jego wnętrzu. Trzymałem go cały czas. Spał spokojnie. Rano opatrzyłem jego rany. Wylize się z nich, jest silny.

Znowu go nakarmiłem. Dużo zostało z poprzedniej nocy. Ja nie jadłem. Nie byłem głodny.

Tego ranka wyruszyliśmy przez pustkowie wybuchu. Znajdziemy inne miasto. Damy sobie radę.

Szliśmy wolno, bo Blood ciągle kulał. Wiele czasu minęło, zanim przestałem słyszeć w głowie jej głos, pytający mnie, pytający ciągle:

Czy wiesz, co to znaczy kochać?

- Pewnie, że wiem.

Chłopiec kocha swojego psa.

Przełożył *Piotr W. Cholewa*